

nie mógł, ale doznał wrażenia nader silnego. Taką sylwetkę już kiedyś widział. Te same szerokie plecy, ten sam rysunek głowy, takie samo podniesienie ręki — widział owej nieszczęsnej nocy, gdy jechał z zamordowanym Döblem i jego mordercą. Postać otulonego towarzysza podróży, gdy sięgał ręką, aby zasłonić lampę, była taka sama, a może i ta sama.

Zapaliwszy cygaro odwrócił się, a Schwerdtner poznał Snovarda. W tej chwili wyszedł jeden z gości z salonu i ze Snovardem rozmawiać zaczął. Bankier nie wyjmując z ust cygara, odpowiadał urywanymi słowami, a ten stłumiony głos, cokolwiek syczący, działał na Schwerdtnera piorunująco. To ten sam głos, którym przemawiał zakapturzony morderca Döbla, to ten sam głos, który Schwerdtner usłyszał już raz w domu barona. Tak jaskrawo teraz przypominała mu się owa straszna noc w pociągu, że nie wątpił ani na chwilę, iż mordercą Döbla jest Snovard.

Co teraz czynić? Wyjawić swoje przekonanie, ale gdzie, jak i przed kim? Czy pospieszyć zaraz do dyrekcji policyi i tam poczynić zeznania? Nie, toby miało znamień podstępnej denuncjacji. Wobec gości weselnych wystąpić jawnie i napiętnować zbrodniarza, to byłby skandal straszny dla rodziny barona. A może zamilczeć? Byłaby to kara zasłużona dla tych ludzi, co uderzyli czołem przed złotym cielcem, co sprzedali się milionerowi, nie badając przeszłości jego życia. Ale w tej chwili przypominał sobie Schwerdtner błagające oczy Elwiry i odrzucił od siebie tę myśl, aby odkrycie pominąć milczeniem. Tak, musi zdebrać maskę z obłudnego mordercy, musi ocalić Elwirę. Ale jak? Czy mu uwierzą? Czy go nie poczytają za szaleńca?

W miarę jak utrzymywało się w nim przekonanie, że się nie myli, że Snovard jest owym zakapturzonym towarzyszem podróży, rosło w nim i rozdrażnienie i chciałby w jednej chwili sprawę załatwić, czempredziej pozbyć się tego ciężkiego zadania, tego straszego obowiązku. I znowu nasuwa mu się natrętnie to pytanie, jak to uczynić i rozstraja go — to podnieca, aż wreszcie opanowany uniesieniem gniewu nie myśli już o niczem, tylko wpada do salonu i szuka Snovarda. Doznaje wrażenia, że ma teraz rzucić się w odmęt fali morskiej z niebotycznej skały, że ma iść w jakiś bój śmiertelny, że iść musi i zwyciężyć, lub zginąć.

Snovarda nie dopatrzył w żadnym salonie. Tymczasem Elwira, znużona do upadłego, znękana wrażeniami, wysunęła się niespostrzeżenie z towarzystwa i spoczęła w jednym z dalszych pokoi. Przy niej siedział August smutny, zapłakany.

— Żal mi cię bardzo — mówił chłopczyna. Nie gniewaj się, że ja tego Snovarda nie cierpię. Ja tam nigdy nie przyjdę, u siebie nigdy mnie nie zobaczysz.

— Nie mów tak braciszku, bo ja jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwa.

To rzekłszy, zalała się łzami i bolesne łkanie dobyło się z jej piersi. W tej chwili stanął na progu Snovard.

— Płaczesz moja droga? — zapytał sucho — z odcieniem szyderstwa.

Elwira zerwała się z miejsca. Suchy, szyderczy ton mowy i poufale „ty“, które poraz pierwszy z ust Snovarda usłyszała, uraziły ją i przeraziły. On to spostrzegł, wyjął cygaro z ust i włożył je do popielniczki, potem przystąpił do żony poufale. Elwira przytuliła do siebie głowę Augusta, jakby w nim szukać chciała obrony.

— Już dosyć późno — cedził Snovard z naciśnięciem — i sędzę, że czas nam udać się do domu.

— Pozwól pan jeszcze, zostaw mnie pan z braciszkiem, tak trudno rozstać się...

— Chciałbym wiedzieć, co znaczy, że przemawiasz do mnie niewłaściwie. Dopóki byłem narzeczonym, mówiliśmy sobie pan i pani, dziś atoli, gdy jestem twoim mężem, życzę sobie, ażebyś do mnie przemawiała, jak się do męża przemawiać zwykło. Bądź łaskawa odesłać chłopca, bo chcę swobodnie pomówić.

— Idź już braciszku — szepnęła Elwira i uściśnęła raz jeszcze Augusta, a chłopczyna rzucił nienawistnym okiem na Snovarda i wyszedł, rozpłomieniony gniewem.

— Twoje postępowanie, kochana Elwiro, muszę nazwać bardzo niewłaściwym. Wobec całego towarzystwa okazujesz jakieś niezadowolenie, czy smutek, niczem nienzasadniony. Co świat o tem pomyśli, co świat o tem powie? Czy zechcesz mi to wytłomaczyć?

Elwira milczała. Znać było, że zbiera siły, aby się opanować i zachować spokój, ale na odpowiedź zdobyć się nie mogła.

— Jeżeli sobie nie życzysz w tej chwili mi odpowiedzieć, możemy rozmowę odroczyć, a tymczasem zażądam pierwszego małżeńskiego pocałunku.

— Nie, nie, nie. Ja nie chcę. Ja się nie zastanawiam, postąpiłam jak szalona... Wróć mi pan swobodę.

Snovard podniósł brwi do góry i spojrzał z takim zdumieniem, jakiego jeszcze zapewne nigdy

W tej chwili zjawił się we drzwiach Schwerdtner i rzekł głosem stanowczym:

— Ta pani z panem nie pójdzie, moi Snovard.

Amerikanin spojrzał na doktora z nietajoną wciekłością i w pierwszej chwili nie zdołał przemówić ani słowa. Elwira wyrwała się z jego rąk, uciekła w głąb pokoju drżąca, patrzyła na Schwerdtnera, który z rozpromienionym okiem, w postawie wyzywającej, stał w progu naprzeciw Snovarda.

— Zuchwalcze! — krzyknął wreszcie Snovard, nie mogąc się opanować. Precz stąd!

— Milcz pan, moi Ralf Snovard — odpowiedział Schwerdtner głosem donośnym.

August, który zatrzymał się w przyległym pokoju, usłyszawszy tę sprzeczkę, pobiegł do ojca przerażony i wpadłszy do salonu, rzekł:

— Coś się złego dzieje. Pan Snovard z panem doktorem bardzo się kłóci, Elwira przerażona.

Chłopczyna mówił dość głośno, więc słyszano to wiele osób i wszyscy pospieszyli za baronem, prowadzeni przez Augusta. Właśnie przybyli do pokoju w chwili, gdy Snovard, uspokoiwszy się cokolwiek, odzyskawszy krew zimną, zapytał:

— Wytłomacz pan natychmiast powód swej bezczelnej napaści?

— Z przyjemnością to uczynię, chociaż to pannę nie będzie przyjemne. Panie baronie i wy panowie, raczcie mi wybaczyć, że muszę zamącić wesołość dnia dzisiejszego. Obowiązek sumienia zniewala mnie głośno zawołać, abyście usunęli ze swego towarzystwa ściganego przez policyę zbrodniarza. Ten oto człowiek, Ralf Snovard, jest mordercą bankiera Döbla.

Schwerdtner skończył. Oslupienie ogarnęło wszystkich; zdawało się, że stoi grupa posągów, a nie gromada ludzi. Baron zachwiał się, oniemiał, spoglądał to na Snovarda, to na Schwerdtnera. Snovard stał zimny, marmurowy, z zaciśniętymi wargami, tylko z ócz tryskały mu piekielne połyski.

— Kochany ojcze — rzekł z wymuszonym spokojem, czy niema tu w pałacu kaptana dla waryatów?

Ten spokój zaimponował obecnym i nasunął im przypuszczenia, że może Schwerdtner się upił, lub popadł w jakąś gorączkę. Wszystkim wydało się teraz niedorzeczna, chorobliwa fantazyja oskarżenia, wypowiedziane przez doktora. Baron odzyskał przytomność i ujawszy Schwerdtnera za ramię, rzekł cokolwiek opryskliwie:

— Muszę się wstydzić za pana, mój doktorze; jakże można coś podobnego... taką niedorzeczność...

— O, panie baronie; jestem trzeźwy i zdrów zupełnie, a na dowód tego opowiem rzecz dokładnie i szczegółowo.

I opowiedział o wszystkim, co się działo pamiętnej nocy w pociągu, o wrażeniu, którego doznał, usłyszawszy głos Snovarda dawniej

w domu barona i o dzisiejszych spostrzeżeniach.

To wywarło przynębiające na wszystkich wrażenie. Spoglądano na siebie pytająco, nikt nie miał odwagi odezwać się, nastąpiło śmiertelne milczenie. Przerwał je krzyk Augusta:

— Na pomoc! Boże! Elwira!...

Elwira leżała w kącie omdlała. Teraz dopiero spostrzeżono, że była świadkiem całego zajścia. Pospieszono jej na pomoc, zaczęto cucić, wezwano lekarza.

— Proszę wyprowadzić tego szaleńca — krzyknął Snovard, a ja sam zajmę się moją żoną.

— Zabraniam ci morderco zbliżać się do córki barona — zawołał Schwerdtner.

— Ustap bezczelny kłamco, bo mogę zapomnieć, że jesteś szaleńcem i...

Schwerdtner przyskoczył do Snovarda z podniesioną pięścią, a Snovard odsunął się zrezygnie porwał ze stołu kandelabr i z całej siły uderzył nim w głowę Schwerdtnera. Uczynił to tak prędko, że dopiero wtedy spostrzeżono co się stało, gdy doktor runął na posadzkę, krwią zalany.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wezli przez zakrystyę i stanęli na progu kościoła.

w życiu nie doznał. Wpatrywał się w Elwirę wzrokiem przeszywającym, szyderskim, a potem roześmiał się głośno:

— A, to zabawne. Przekonywam się, że kobiety właściwie nigdy zrozumieć nie można. Ale to dla mnie w tej chwili obojętne, bo choćbym ja ciebie nie rozumiał, ty mnie zrozumieć jednak musisz...

— Czy to groźba? — zapytała podnieconym głosem Elwira.

— Nie! to postanowienie, a u mnie nie było jeszcze wypadku, abym nie dokonał tego, co postanowiłem. Oświadczam ci moja żono, że natychmiast jedziemy do naszego mieszkania.

Elwira cofnęła się wstecz, oparła rękoma o ścianę, jakby w niej szukała obrony i zawołała przerażona:

— Ja się boję, ja nie chcę...

— Ha, ha... — zaśmiał się szyderczo Snovard, twarz mu pozieleniała, oczy zaświeciły jaszczurczym blaskiem, przyskoczył do Elwiry i pochwycił ją za rękę.

— Proszę mnie puścić — szepnęła Elwira.

— Chodź natychmiast! — ryknął Snovard, zgrzytając zębami i pociągnął Elwirę na próg pokoju.